

## Bartek Biedrzycki - Dokąd, chłopcy, idziecie?

- Wolę gadać z wami, młodymi – powiedział do mnie, czterdziestoletniego wtedy faceta, Maciej Parowski pewnej chłodnej październikowej nocy w Zielonej Górze, dosiadając się do naszego stołu, wokół którego siedziała naprawdę niezła zbieranina – pisarze i pisarki, kilkoro młodzieńców, tłumacz, ze dwóch redaktorów i ludzie pamiętający powstanie fandomu w Polsce. – Wolę gadać z wami, bo macie coś nowego do powiedzenia – zadeklarował z uśmiechem.

Takim go pamiętam – uśmiechnięty, niezwykle spokojny człowiek, który krążył między ludźmi, grupkami, stolikami, salami, koteriami od jednych do drugich i ze wszystkimi rozmawiał. Mówił, owszem, kiedy go słuchali; słuchał, jeśli nikt go o nic nie zapytał; czasem wtrącał się z pozycji człowieka, który z niejednego pieca już chleb jadł, ale rzadko z pozycji mentora, chociaż niewątpliwie zasłużył na to miano w naszym polskim grajdołku.

Maciek był obecny „na scenie” od tak dawna, że dla większości z nas było to całe nasze świadome fantastyczne życie. Można go było uwielbiać i uważać za filar, można było nie lubić, a niejednokrotnie antypatie te nie były nieuzasadnione ani wyłącznie personalne, niepodobna jednak było go nie znać. Chyba w oczach wielu był jak ten stary mistrz kung-fu, który z pełnym pewnością siebie podpartej wiedzą dekad i doświadczeniem uśmiechem w przymrużonych oczach patrzy na nowych adeptów, okładających się kijami na placu treningowym, ale nie wchodzi już między sparringujących wojowników, co najwyżej rzuci sandałem, celnie trafiając któregoś w ucho.

Jasne, niejednokrotnie czytelnicy, pisarze, inni redaktorzy wypowiadali się o Parowskim ostro – w końcu był figurą dość znacznego kalibru, aby niejednemu zaleźć za skórę. Bywało, że obrywał mocniej, dostał nawet „Złotego Meteora” za ataki na fandom i – dwadzieścia lat temu – nagrodę Zajdla (ten cyrk przyjeżdża do miasta co roku, Zajdel bez gównoburzy to nie Zajdel). Po jego śmierci na nowo rozgorzały dyskusje o jego wkładzie w kształt polskiej sceny fantastycznej, o zaniechaniach, niechęci do pewnych zjawisk, o tym, że najzwyczajniej w świecie miał zawsze własne zdanie i czasem na przekór wszystkim był gotów o nie walczyć i je forsować. Sprawiał innym problemy swoją osobą, bo miał osobowość.

Spotykaliśmy się z Parówkarzem przy wielu okazjach – najserdeczniej jednak i najlepiej rozmawiało nam się zawsze w Zielonej Górze na Bachanaliach. Pewnego roku, kiedyśmy dobrze już naoliwieni wkraczali na kwatery jakoś w środku nocy prosto z dworca kolejowego otworzyło się po drugiej stronie zaułka okno, wyjrzał z niego Maciej i zagadnął:

- A dokąd wy, chłopcy, idziecie?

- Na piwo, Maćku!

- Poszedłbym z wami, ale już mi się spać chce. Pogadamy rano.

Liczyłem, że pogadamy także w tym roku. O wszystkim: o książkach, filmach, o opowiadaniach, o tym, czemu spuścił po rynnę „CyberJoly Drim” i jak nam idzie reaktywowany, nowożytny Fenix. Zawsze zresztą chętnie o tym wszystkim rozmawiał, pojawiał się na naszych panelach, miał swoje zdanie, czasem zaprzeczał, wykręcał się albo tłumaczył, albo zwyczajnie mówił „nie tak było, pozapominaliście, wy młodzi” a potem śmiały się zmrużone oczy i robił dobroduszną minę.

„Burzę. Ucieczkę z Warszawy ‘40” postanowiliśmy nagrodzić Fawkesem dla książki z cienia w zasadzie jeszcze jesienią, kiedy opadał kurz po „Upiorze południa”. Książka ta przeszła bez większego echa – osobiście nie dziwię się, jest raczej trudna, wymagająca od czytelnika, zmusza go do wysiłku

intelektualnego. Maciek pewnie zaliczyłby ją do „fantastyki problemowej” podczas gdy popularna jest raczej „fantastyka rozrywkowa”. Pisząc ten tekst, który omawiamy zresztą w antologii na więcej niż jeden sposób, chyba wiedział, na co się decyduje – a jednak szkoda, że ta akurat historia alternatywna przeszła bez należytego echa.

Liczyłem, że w tym roku na Bachanaliach Fantastycznych na jego ręce będę mógł przekazać statuetkę Fawkesa dla „Burzy. Ucieczki z Warszawy '40”. Liczyłem na to bardzo jeszcze wiosną, kiedyśmy się dowiedzieli, że choruje i jest to choroba raczej z tych poważnych. Do końca podtrzymywał kontakt, zdążył popracować, podomykać część swoich spraw. Nie wszystkie.

Cieszę się jedynie, żeśmy my, młodzi, mieli okazję z nim pójść na piwo i porozmawiać. I – nie oszukujmy się – posłuchać go jak młodzieź starszego kolegi. Bo choćbyśmy się czasem gorąco nie zgadzali, to jednak gawędzić – potrafił.

Zostały nam jego książki. W tym ta ostatnia, na którą pisząc te słowa jeszcze czekam.

A dokąd idą chłopcy? Chłopcy idą przed siebie, Maćku. Napić się piwa za Twoje zdrowie i poczytać fantastykę. Dziewczyny, zresztą, dokładnie tak samo.